ARCHIWUM
Mirosława
Dereckiego

Mirosław Derecki

BEZ CHARAKTERYZACJI

ROZMOWA Z WŁODZIMIERZEM WISZNIEWSKIM AKTOREM TEATRU IM. J. OSTERWY W LUBLINIE

- W „Weselu" wystawionym ostatnio (w reżyserii Ignacego Gogolewskiego) w związku z obchodami 40-lecia Teatru im. Osterwy, grasz jedną z czołowych ról – Czepca. Przedstawienie to szczególne. Nawiązuje do tamtego historycznego spektaklu z końca listopada 1944 r., do „Wesela" wystawionego na lubelskiej scenie przez Teatr Wojska Polskiego, a wyreżyserowanego przez Jacka Woszczerowicza, 29 listopada 1944 r. o godzinie 14.30 kurtyna poszła w górę, i ów moment uważa się za początek historii teatru w odrodzonej Polsce.

- Dlatego ostatnia premiera odbyła się także 29 listopada i też, punktualnie, o 14.30. Nawiasem mówiąc, przedstawienie Gogolewskiego to już trzecia realizacja „Wesela" w czasie istnienia naszego teatru. Poprzednia miała miejsce dwadzieścia lat temu, reżyserowała Zofia Modrzewska, a ja wówczas także grałem Czepca. Jaka szkoda, że Zofii Modrzewskiej zabrakło na premierze, że już nigdy jej nie zobaczymy. Była nie tylko znakomitym reżyserem związanym przez wiele lat z lubelskim teatrem, była również świetnym pedagogiem; my wszyscy, którzy przeszliśmy przez „szkołę" pani Zosi, zawdzięczamy jej tak wiele…

A wracając do roli, muszę powiedzieć, że jest to mój „trzeci" Czepiec. Przed dwunastu laty grałem tę rolę gościnnie w szczecińskim przedstawieniu Witolda Grudy. Zapamiętałem tamto „Wesele" szczególnie dobrze, bo stało się ono swoistym objawieniem na festiwalu teatralnym w Toruniu, zdobyło kilkanaście nagród.

- Twoja kariera sceniczna zaczęła się jednak tutaj, na deskach teatru lubelskiego, w 1957 r.

- Właśnie. Trafiłem do Lublina jako świeżo upieczony absolwent szkoły teatralnej. A dzisiaj jestem, ku swemu przerażeniu, najstarszym - jeżeli chodzi o nieprzerwany staż - aktorem Teatru im. Osterwy. Dwadzieścia siedem lat! Ty wiesz, jaki to kawał czasu!

- Właściwie pierwsze aktorskie kroki stawiałeś nie w teatrze, tylko na planie filmowym: w ekranizacji „Zemsty” Aleksandra Fredry, to reżyserii Antoniego Bohdziewicza i profesora Korzeniewskiego...

- Ty to pamiętasz? Oczywiście, grałem tam „wielką” rolę - jednego z hajduków cześnika Raptusiewicza… Cześnika grał Jan Kurnakowicz, Papkina - Kondrat, a rejenta Milczka - Jacek Woszczerowicz. To była wspaniała szkoła aktorstwa dla nas, młodych, okazja podpatrywania mistrzów polskiej sceny na planie filmowym. W tymże filmie debiutowała rolą Klary młodziutka, chyba piętnastoletnia, Beata Tyszkiewicz. Miała być „nową twarzą” w polskim kinie, i to się sprawdziło. Do dzisiaj Beata jest chyba największą, najwspanialszą kobiecą osobowością polskiego ekranu... A ja byłem wówczas studentem Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej - tak się wówczas nazywała ta uczelnia - w Łodzi.

- Skąd ty, rodowity łodzianin, wziąłeś się w Lublinie? Przecież „u siebie” miałeś o wiele więcej możliwości uzyskania dobrego angażu. W Łodzi też była wytwórnia filmowa oraz duża rozgłośnia radiowa. No i w środowisku studenckim byłeś znany… Właśnie latem 1957 r„ kiedy poznaliśmy się w Międzyzdrojach, sprawowałeś funkcję starosty międzynarodowego obozu studenckiego. Dom studencki „Mewa”, bat gałganiarzy, a ty na jego czele, w jakimś nieprawdopodobnym kostiumie!

- Ha, ha, ha! „Mewa”! Bał gałganiarzy! Mój Boże, jak to dawno! Tak, tak, ty przyjechałeś z kabaretem „Sex” z Lublina na „gościnne występy”. I ja nie dałem wam umrzeć z głodu, załatwiłem „lewe” obiady w sąsiedniej studenckiej stołówce.

Ale jak i dlaczego znalazłem się wkrótce potem, jesienią 1957 r., w Lublinie? Przez kobietę, oczywiście. A było to tak: dwa lata wcześniej, kiedy byłem jeszcze w połowie studiów w Warszawie zorganizowano słynny Międzynarodowy Festiwal Młodzieży. Były wakacje, pracowałem w biurze festiwalowym. W ostatnim dniu Festiwalu odbywał się wielki bal na Starym Mieście, pod gołym niebem. Często ów właśnie bal pokazuje się w przeglądach starych kronik filmowych z okresu czterdziestolecia. I ja na tym balu poprosiłem do tańca dziewczyną. Tak poznałem swoją przyszłą żonę.

Dziewczyna była studentką stomatologii na Akademii Medycznej w Warszawie. Kończyła już studia i wybierała się do pierwszej pracy właśnie do Lublina. Aha, bo jeszcze zapomniałem ci powiedzieć, że ja byłem trochę „opóźniony” w studiach. Po maturze jako dyplomowany technik ogrodnik, pracowałem „z nakazu pracy”, jak to się wówczas określało, przez rok na stanowisku instruktora ogrodnictwa w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łodzi. Projektowałem sady. No więc przyjechałem do Lublina w ślad za żoną z myślą o roku najwyżej pracy w tutejszym teatrze. A potem jakoś z roku na rok zrobiło się dwadzieścia siedem lat.

- Skąd u ciebie, u licha, pasja do teatru? Cała twoja rodzina to przecież prawicy.

- No właśnie. Sam się zastanawiam, Ojciec, wuj, ciotka byli prawnikami. Ojciec, sędzia, sprawował jeszcze przed wojną funkcję przewodniczącego Oddziału Karnego w Sądzie Grodzkim w Łodzi… Wiesz, może „artystyczne ciągoty" odziedziczyłem po stryju, Ludwiku Wiszniewskim, znanym w okresie międzywojennym autorze książek dla młodzieży? Mój młodszy brat, zmarł niedawno, wybitnie utalentowany reżyser filmowy Wojciech Wisznikowski, także na pewną chwilę nie myślał o kontytuowaniu „tradycji rodzinnej". W naszych zainteresowaniach sztuką, a nie prawem różniliśmy się tylko o tyle, że ja wybrałem teatr, zaś on- film.

- Miałeś już „od najmłodszych lat" – jak się zwykło pisać w podaniach o przyjęcie na studia – zainteresowania teatralne?

- A skądże! Nawet nigdy nie byłem w żadnym kółku recytatorskim czy tak zwanym zespole żywego słowa. Natomiast w czasach szkolnych przez kilka lat tańczyłem w Zespole Pieśni i Tańca przy Wojewódzkim Domu Kultury w Łodzi. Dlatego jeszcze dzisiaj jak trzeba na scenie wyciąć mazura, przychodzi mi to może łatwiej, mimo mojej tuszy, niż niektórym innym kolegom. Ale jak szedłem na egzamin do szkoły teatralnej, postanowiłem na szelki wypadek nie przyznawać się nawet do zespołu tanecznego. A nuż zaszkodzi? Wtedy była moda na przyjmowanie do Szkoły Teatralnej ludzi całkiem „surowych", takich Janków Muzykantów, „samorodnych talentów". Bardzo się komisji egzaminacyjnej podobało, że jestem technikiem ogrodnikiem. „T może pan powie fragment z „Pana Tadeusza" ten o Zosi, ogrodzie warzywnym i grządkach?" – zaproponował któryś z profesorów. Myślałem, że sobie ze mnie kpiny robi, a oni mówili poważnie. No i egzamin zdałem bez zastrzeżeń.

- Twój debiut sceniczny to rola w „Wędce Feniksany" Lope de Vegi.

- Tak. Reżyserował Jerzy Goliński, artysta o ustalonej już wtedy, wysokiej opinii, przed którym ja, najmłodszy w zespole aktor, (nawiasem mówiąc, jedyny młody aktor zaangażowany w sezonie 1957/58 do lubelskiego teatru) czułem niezwykły respekt. W „Wędce Feniksany" dano mi rolę Don Feliksa. AMANTA!!! - wyobrażasz to sobie?! Reżyserowali mnie wszyscy koledzy, a Golański rwał włosy z głowy i krzyczał: „Co za szkolne, sztubackie akcenty w tej grze!!!" Więc byłem zrozpaczony, chodziłem i bezustannie „grałem", do wszystkich i wszystkiego: do kolegów, do ściany, do kotary na scenie...

- Pamiętam, pamiętam. Nie dawałeś nikomu chwili wytchnienia. Ta twoje ciągle: „Bardzo się cieszę, mój dropi hidalgo, że wreszcie do mnie przybyłeś..."

- Nie, nie! To z czego innego. Tamto szło tak: „Moje przyjazne uczucia, drogi Lucindo..." I tak dalej, i tak dalej. Ale co tam Goliński! Pani Zosia Modrzewska, ta potrafiła dawać młodym aktorom szkołę! „Synu! - krzyczała do mnie na próbach - KTO ci dał dyplom?! Nic nie umie! No NIE UMIE!!!". I rzucała się na mnie i miotła mną po scenie jak…

orzeszkiem. Mną, takim wysokim, potężnym chłopem, ona - taka drobna, szczupła, delikatna starsza pani!

- No, no, nie bądź taki skromny! Dość szybko zacząłeś dostawać duże, odpowiedzialne role. A co pisała o twoim Falstaffie w szekspirowskich „Wesołych kumoszkach z Windsoru" Maria Bechczyc-Rudnicka w recenzji na łamach „Teatru"?! Powoływała się na określenie tej postaci przez Alfreda Mezieres: „Falstaff posiada same wady, lecz za to zawsze dowcipny, wywołuje ogólny śmiech bądź kosztem upatrzonych ofiar, bądź kosztem własnym. Jedyną jego zaletą jest naturalna wesołość, która go nigdy nie opuszcza, dodając jego mowie pikanterii. Dostrzega on w lot zabawną stronę każdej sytuacji, rozbraja komizmem, nawet, gdy płata ludziom psie figle". I dodawała następnie, już od siebie: „Właśnie takiego Falstaffa potrafił odtworzyć aktor Teatru im. Osterwy, Włodzimierz Wiszniewski. Mimo okazałej, w sam raz dla Sir Johna, tuszy, lekki, fruwający niemal jak tancerz po podestach, pa schodach, wesoły spontanicznie, żywiołowo. Sadzę, że pobiłby obecnie na głowę wszystkich potencjalnych Falstaffów w teatrach polskich. Warto pokazać go w TV (W tym momencie przyłapuje się na domyśle, że może właśnie niedobór Falstaffów stanowi o rzadkość inscenizacji „Wesołych kumoszek z Windsoru"?).

- To było już szereg lat później, kiedy zdobyłem jakieś tam doświadczenie aktorskie, jakiś „warsztat"... Ale masz rację, dość szybko zaczęto mnie dostrzegać. Na początku 1958 r. zagrałem rolę kamerdynera w „Intrydze i miłości" Schillera w Marii Wiercińskiej, i chyba właściwie od tej roli zaczyna się moja kariera sceniczna. Starsi koledzy orzekli wtedy: „Chłopak wprawdzie jeszcze nic nie umie, ale ma wnętrze".

- Twoja pierwsza „duża" rola?

- Mistrz Blazjuesz w „Nie igra się z miłością" Musseta, w reżyserii Zofii Modrzewskiej. I potem już poszło… A w ogóle to, choć początkowo była wobec mnie bezwzględna, z czasem stałem się ulubieńcom pani Zosi.

- Dwadzieścia siedem lat, prawie bez „pauzowania". Ile ról zagrali w tym okresie?

- Czekaj... Liczmy, że przez 27 lat po jakichś 5 ról w sezonie, no, może nie zawsze pięć. To byłoby grubo ponad 100 ról. Popatrz! Już powyżej setki! Dopiero w tej chwili sobie uświadomiłem.

- Zaczynałeś, jako amant. Ale potem ustaliłeś swoje emploi, jako aktor charakterystyczny, grając w dramacie, w komedii i w farsie. Występujesz także w przedstawieniach kabaretowych. Przyznaj się, jakie role najbardziej ci „leżą"?

- Te, które - he, he! - dobrze gram...

- Falstaff w „Wesołych kumoszkach z Windsoru", Tobiasz Czkawka w „Wieczorze Trzech Króli", Cześnik w „Zemście", Wojewoda w „Holsztyńskim", Edek w „Tangu", Czepiec w „Weselu"... Jesteś bardzo często obsadzany w rolach komediowych, lecz równie

chętnie sięgasz do ról par excellence dramatycznych. Jesteś aktorem nie tylko utalentowanym, ale też aktorem wszechstronnym. I bardzo pracowitym. Grasz duże role, wymagające ogromnego wysiłku, nie tylko artystycznego, także - fizycznego. No i opanowywanie olbrzymim partii tekstu.

- Tego najbardziej nie lubię; uczenia się roli. Chociaż tekst zapamiętuję szybko.

- Grając Jona Chryzostoma Paska w „Pamiętnikach Pana Paska", musiałeś się nauczyć na pamięć 110 stron tekstu, a przez cały czas przedstawienia prawie nie schodziłeś ze sceny. Taka praca to ciężka harówka.

- Wiesz, tego wszystkiego, o czym mówisz, na scenie właściwie się nie czuje. Dopiero potem, w domu. Na scenie czas płynie zupełnie inaczej, bardzo szybko. Więcej się męczą ci, którzy siedzą w garderobie, czekając na swoje kolejne „wejścia". No, ale istotnie, organizm - na scenie czy poza sceną - musi w końcu, przy takiej pracy, przypomnieć o swoim istnieniu. I ja też miałem trochę zawodowego „przestoju" w związku z dolegliwościami sercowymi. Ale kto nosi na sobie 115 kilogramów wagi, ten musi cierpieć. Za tak zwane „warunki sceniczne" niestety się płaci; często - zdrowiem.

- Zaczynałeś, jak już mówiliśmy, na planie filmowym, poświęciłeś się teatrowi. Ale z filmem przecież nie zerwałeś.

-A nie! Ciągle mam jakieś propozycje. Ostatnio, grałem Churchilla w „Katastrofie w Gibraltarze" Bohdana Poręby; występowałem i występuję w wielu telewizyjnych serialach, niedawno widzowie oglądali mnie w „Popielcu" Bera, w odcinku zatytułowanym „Herody"; u Konica gram jedną z postaci w serialu „Rok 1944". Nie można narzekać.

- Od lat działasz społecznie...

- Już po raz trzeci wybrano mnie na radnego miejskiego. W tej kadencji pełnię funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Kultury.

- Stan rodzinny?

- Żona Elżbieta, dwóch synów: Tomasz - urodzony w 1958 r. i Marek - w 1964. Tomasz kończy w tym roku studia reżyserskie w szkole filmowej w Łodzi, Marek będzie próbował dostać się na stomatologię.

- Czyli synowie podzielili zainteresowania zawodowe obojga rodziców... Twoje hobby?

- Wędkarstwo, motoryzacja, turystyka. Jak bym miał czas i pieniądze, zwiedzałbym świat.

- Najzabawniejszy incydent, jaki ci się przydarzył w czasie pracy w teatrze?

- Ten, który miał miejsce podczas wyjazdowego przedstawienia „Króla i aktora" Brandstaettera w Parczewie, już zresztą szereg lat temu. Była zima, mróz, drogi zawiało śniegiem. Autokar teatralny w końcu przebił się przez zaspy, ale dotarliśmy na miejsce z czterogodzinnym opóźnieniem. Mimo to publiczność czekała. Zaczęliśmy, przedstawienie.

Atmosfera na widowni była bardzo ciepła, coraz bardziej gorąca. Także bez przenośni: kaloryfery grzały coraz mocniej. Miałem bardzo długą scenę z Andrzejem Chmielarczykiem. Tylko my dwaj. Ale nagle pojawił się ktoś trzeci: nieznany, osobnik w całkiem współczesnym „kostiumie", w ubraniu roboczym. Doszedł do połowy sceny, ukłonił się nam z szacunkiem, po czym zniknął za kulisami. Po kilku minutach pojawił się po raz drugi, potem po raz trzeci i czwarty. Publiczność nie reagowała. My z Chmielarczykiem - też! Udawaliśmy, że go nie dostrzegamy. Po przedstawieniu, zdenerwowani pytamy miejscowych organizatorów: „Panowie, kto to był, ten w kufajce?". „Aaaa to nasz człowiek, palacz z kotłowni. Koksu dosypał do pieca, żeby było ciepło". „Ale dlaczego przez scenę przechodził?" „A bo tamtędy było mu najbliżej".

- Nadchodzi Boże Narodzenie. Czego życzysz widzom na święta i na Nowy Rok 1985?

- Widzom teatralnym życzę ciepła. Płynącego nie tylko ze sceny, ale i z kaloryferów. Ludziom młodym życzę spokoju i cierpliwości.

- A sobie czego życzysz?

- Przede wszystkim - zdrowia. Bo od tęgo się wszystko zaczyna i na tym się kończy.

Pierwodruk: „Kamena", 1984, nr 26, s. 15-16.